

Warszawa, dnia 23 Maja / 4 Czerwca 1870 roku.

№ 22. | Cena w Warszawie 25 kop. miesięcznie — na Prowincji: rs. 1 kop. 20 kwartalnie (w tém mieści się już opłata pocztowa za przesyłkę kop. 11¼, oraz za opakowanie i ekspedycję kop. 33¾). **Redakcja** w Warszawie przy ulicy Solnéj pod Nr. 715.—**Skład główny** dla pp. Księgarzy *w Warszawie* w księgarni Ferdynanda Hösicka, ulica Senatorska Nr. 496, i tamże urządzona jest skrzynka na listy adresowane do Redakcji. *W Poznaniu* u **Leitgebera**, we *Lwowie* u **Wilda Karola**, w *Żytomierzu* u **Budkiewicza** księgarza. | Rok VI.

POSŁAŃCY PUBLICZNI W WARSZAWIE.

Co raz pilniéj rozglądając się umiejętnie w około siebie, staramy się dopełniać to, czego nam niedostaje, a co już gdzieindziéj dawno istnieje z pożytkiem i zadowoleniem ogółu. Między instytucjami świeżo powstającemi, spotykamy utworzoną przez p. Henryka Szaniawskiego pod nazwą: „Biuro posłańców publicznych.“ Znacie już ich zapewne; ich ubiór odrębny, szare bluzy, pasy lakierowane, kapelusze z napisami i numerami, zwróciły uwagę publiczności Warszawskiéj. Dotąd jest ich czterdziestu podobno.



Posłańcy publiczni w Warszawie.

Trzeba oddać zasługę p. Szaniawskiemu, że miał potrzebną ilość odwagi i wytrwałości, do podjęcia i urzeczywistnienia przedsięwzięcia zamierzonego przez siebie. Wiemy, jakie trudności miał do zwalczenia i jakie go jeszcze czekać mogą. Lecz tak już zawsze bywa w początkach, a u nas pono jeszcze trudniéj.

Pan Szaniawski wziął się energicznie do rzeczy; zyskał prędko ustawę i projekt swój wprowadził w życie; to jest: 1): zebrał ludzi potrzebnych i odpowiednich, 2): rozpoczął działalność.

W pierwszéj téj czynności zasługę położył znakomitą, w obec towarzystwa ze stanowiska ekonomicznego i moralnego. Bowiem czterdziestu dotąd jednostkom, mającym chęć do pracy, podał możność zużytecznienia onejże dla nich samych, dla stowarzyszenia i społeczeństwa. Daléj położył zasługę w obec moralności; bo starając się o dobór koniecznych ludzi, tyleż jednostek wyrwał od pokus złego, z żą-

dzy prędkiego i łatwego zarobku, dla tem prędszego i nieporządnego tegoż stwronienia. Jest bowiem w każdém większém mieście pewna ilość ludzi, którzy nie mogąc lub niechcąc się oddać stałemu zatrudnieniu, rzucają się na przygodne zarobki, częstokroć większe zyski przynoszące, ale potrzebujące zarazem wyczekiwania i znacznéj straty czasu; wśród czego niweczą zdrowie próżniactwem i trwonią zarobek. Zebrani stowarzyszeni posłańcy, już sami czując korzyści z zespolenia się pod przewodnictwem biura swego, niewątpliwie przykładem swym zachęcą innych do przystępowania i ciąży na nich obowiązek zachęcenia odpowiednich ludzi, gdyż stowarzyszenie oparte jest na zasadzie solidarności.

Co do *działalności*, rola tutaj dzielić się musi na dwie części: *jedną*, przyjmuje p. Szaniawski w prowadzeniu i urządzeniu stowarzyszenia, oraz kierowania témże; *druga*, należy do publiczności. Czyli, na nas ciąży obowiązek nietylko przypatrywać się malowniczemu ubiorowi posłańców lub czytać w gazetach sprawozdania w tym przedmiocie, ale objawiając życzliwość i chęć zużytecznienia pracy i usług zaofiarowanych przez posłańców.

I mniemamy że publiczność nie dozwoli upaść instytucji, która zasługuje na opiekę i poparcie, tak dobrze jak ochronki i inne instytucje dobroczynne, dla których Warszawianie tyle złotego swego serca objawiają. Nawet zdaniem naszem, zyskać ona winna jeszcze większą sympatję, bo w podparciu instytucji téj, być może znajdzie się sposób do podniesienia z upadku moralnego klassy usługującéj.

W ten sposób objaśniwszy wzajemne obowiązki biura posłańców i publiczności, powiemy o ustawie jeszcze słowo.

Ustawa napisana jest jasno i zrozumiale, język poprawny i czysty; przymioty którymi nie wszystkie mogą się cieszyć; dla tego szczegółowego komentarza nie potrzebuje. Zasadą tejże jest solidarność, pod kierownictwem biura głównego. Na posłańców przyjmowani być mogą tak mężczyzni jak i kobiety (§ 7), o ile być może umiejący czytać i pisać, nieulegli karom sądowym za kradzież, oszustwo lub nadużycie zaufania i t. p. jak również nie znajdujący się pod dozorem policyjnym. Posłaniec składa przy wejściu do służby kaucji rsr. 10; wartość zgubionego przedmiotu wytrąca się z kaucji winnego posłańca; gdy zaś przeniesie rsr. 10, wyżéj nad tę cyfrę aż do rsr. 150, pokrywa się w 2/3 częściach kosztem innych kommissjonerów, w 1/3 części kosztem biura, które odpowiedzialném jest w obec przesyłających tylko do wysokości rsr. 150, za zagubę przedmiotu przez posłańca.

Biuro składa kaucji rsr 1,000 w Magistracie złożonéj. Reklamacje o zagubiony przedmiot tylko w 24 godzinach mogą być czynione; § ten (4) zdawałoby się że nie jest dokładnie wyłuszczony. Słyszeliśmy bowiem zarzuty przeciw niemu; nam się jednak zdaje, że nie powinna zachodzić żadna wątpliwość, gdy termin godzin 24 liczyć się powinien od chwili odkrycia, że przedmiot zagubiony został; wyraz *zagubiony*, zamieszczony w ustawie, dostatecznie tłumaczy myśl tejże, zatem podaje datę od której liczyć się winny owe 24 godzin; to jest od momentu odkrycia zaguby. Każdy posłaniec winien wnosić codziennie do biura 12 1/2 kop., jeśli nie wnosi, odtrąca się kwota ta z kaucji; po tygodniu bezpłodnym, wydalonym zostaje ze służby. Z wnoszonych codziennie 12 1/2 kop. Biuro odtrąca 2 1/2 kop. i zebraną tym sposobem summę, odsyła miesięcznie do Kassy Oszczędności na procent. Z tak powstałego kapitału, może korzystać każdy posłaniec w nagłéj potrzebie, za zgodą jednakże biura, lub przy uwolnieniu z obowiązku, wyjąwszy gdyby oddalony został za nadużycia; w takim razie zebrana kwota, staje się własnością pozostałych w służbie posłańców.

Każdy posłaniec posiada książeczkę sznurową, z której wydarta marka służyć ma jako dowód dla wysyłającego, na oddaną posyłkę. Dla porządku i łatwiejszego zobaczenia ich zdaleka, posłańcy obojéj płci, nosić będą czarne kapelusze z numerami i z napisem *posłaniec*, jak również szerokie czarne pasy także z numerami. Ogólna ilość posłańców nie może być mniejszą nad 100, a nie większą nad 250. Każdy posłaniec ma drukowaną taryfę.

Musimy zwrócić uwagę że cena jest zbyt niską, szczególniéj za przesyłki kursowe z ciężarem; i tak 7 1/2 kop. za kurs z ciężarem do 10 funtów w mieście i do dworca kolei Warszawsko-Wiedeńskiéj i Warszawsko-Bydgowskiéj. Za takiż kurs z piśmienną lub ustną odpowiedzią kop. 12 1/2. W dalszych miejscowościach po 15 kop. i 20 kop. Za czekanie na odpowiedź do 10 minut, nic się nie płaci; za dłuższy czas do półgodziny kop. 10, a za godzinę kop. 15. Posłańcy mogą być wynajęci na godziny, a mianowicie: za półgodziny kop. 10, za godzinę kop. 15, za trzy godzin kop. 35, za sześć godzin kop. 60, za 12 godzin w dzień 90 kop., za 12 godzin w nocy rsr. 1 kop. 25, za więcéj jak jedna doba po 1 rsr.

Za obsługę, a mianowicie oczyszczenie rzeczy, nastawienie samowaru, przyniesienie wody, zapalenie w zimie raz na dzień i za zrobienie porządku w pokoju od jednéj osoby, opłaca się miesięcznie rsr. 1 kop. 50. O wszystkie inne posługi nie objęte przepisami, jak również za przewożenie ciężarów końmi, należy się układać z samém biurem.

Z treści ustawy przekonać się mogą czytelnicy: że przytoczone słowa nasze o użyteczności téj instytucji, równie zasługującéj na poparcie i sympatje, jak ochronki, tanie kuchnie i instytucje dobroczynne, nie są pozbawione zasady. Naszém zdaniem, biuro posłańców publicznych załatwia nadto jedno z zadań społecznych, to jest dążenie do zniesienia ubóstwa, przez podniesienie tegoż materjalnie i moralnie do stanowiska człowieka—pracownika. Gdy się wieść będzie posłańcom, mogą zarabiać po kilka złotych aż do rubla i więcéj na dobę; z tego tylko 10 kop. odchodzi dla Biura na administrację, reszta wpływa do kieszeni posłańców. Może się więc skromnie utrzymać z rodziną wsród bytu *niezależnego*, bo zależnego tylko od energicznéj pracy i porządnego prowadzenia się.

Mniemamy, że będziemy mieli przyjemność doniesienia czytelnikom, iż instytucja ta przyjęła się u nas i zyskała w praktyce uznanie ogółu i wyrobiła stanowisko swoje. Dodamy jeszcze uwagę, że możnaby zużytecznić dotychczasową u nas zabawkę, to jest *welocipedy* do użytku posłańców, zwłaszcza przy posyłkach niecieżarowych; gdy już gdzieindziéj welocipedy są używane przez biura pocztowe

i kommissjonerów, a mianowicie też w Berlinie, o ile nam jest wiadomo. (¹) *Kaźmierz Kalinka.*

TRZY KOCHANKI.

Słyszysz, luba, pieją kury,
U wrót siwek rży...
Szlakiem orłów, między góry
Czas już lecieć mi!...

Czas już lecieć, choć o niebie
Z tobą mi się śni...
Chociaż... Trudno! oprócz ciebie
Mam kochanek trzy...

Trzy kochanki! na mą duszę
Ni więcéj, ni mniéj...
Kocham wszystkie, wszystkim muszę
Rozkosz dać i łzy...

Kiedy nocą, w twych uściskach
Duch mój hardy śpi,
W księżycowych widna błyskach
Jedna strzeże drzwi...

Mołodyca! z ust pioruny,
Z oczu sypie skry...
Spojrzyj—wśród miesięcznéj łuny
Srebrem blasków lśni...

Druga moja —nieujęta,
Bez ciała, bez krwi,
Nie wiążą jéj ziemskie pęta,
Bo z chmur jest i z mgły...

Złotą obręcz ma przy skroni,
W oku śmiech i łzy,
Gdy jéj lica wichr odsłoni,
Błyska się i grzmi...

Świętéj trwogi majestatem
Głos jéj Boski drży,
Dziecię nieba, złudzeń kwiatem
Stroi ludzkie sny...

Trzecia moja twarz ma wstrętną,
W ustach śmiech, co drwi,
Kędy przejdzie, krwawe piętno
Szlakiem jéj się skrzy...

Dzień, gdy wchodzi w ludzkie progi
Jest ostatniem z dni...
Do téj strasznéj, do téj drogiéj,
Serce rwie się mi!...

. . . .

Luba! śmiechem i pieszczotą
Zwiéj mi z serca mgły...
Całuj! śpiewaj!... Milczysz... co to?
W oku twojem łzy?...

Trudno! trudno! choć o niebie
Z tobą mi się śni,
Muszę lecieć—oprócz ciebie
Mam kochanek trzy...

Wiktor Gomulicki.

(¹) Sądzimy że welocipedy dla posłańców nie będą mogły być zastósowane. Welocipedy potrzebują drogi równéj a nie bruku. Sądzimy zaś, że jazda welocipedami po flizach, ze względu na bezpieczeństwo przechodniów, także do skutku przyjść nie będzie mogła. (*Przyp. Red.*)

Wieczór nad Wisłą koło Gdańska.

Po flisie jedziem po flisie—
Niebo gwiazdami nam skrzy się—
Wisełka falami pluska
Mieniąc się z wierzchu jak łuska.
. . . .
Miga się tylko przed nami
Ziemia z miastami, wioskami,
A pańskich kościołów krzyże
Ku niebu śmigają hyże...
J. K. T.

Hej toż to życie! to uciecha i rozkosz, kiedy młody parobek przywdziawszy na się kobiałkę, na szyję włożywszy medalik z Częstochowską Panną, gotowy do flisu, wybiera się poraz pierwszy w podróż po tym gościńcu wodnym, aż het! do Gdańska. Bo też to huk radości gotuje mu ta podróż. Najprzód przebędzie kawał ziemi, jakiego jeszcze nie widział; wstąpi w drogę zawodu, w któréj ojciec jego i dziad całe życie spędzili, a dopłynąwszy do Gdańska, w razie pomyślnéj sprzedaży, może też do brzegów morskich się dobije i zobaczy po raz pierwszy *morze...* tego olbrzyma wód... to cudne zwierciadło Niebios, takie niezmierzone, nieobjęte okiem, wspaniałe i tajemnicze. Rzeka Wisła bowiemtylko z północnéj strony wałów Gdańskich dotyka, zwraca się potem znowu na prawo i o trzy ćwierci mili pod Weichselmünde (Ujście Wisły) spływa do morza Baltyckiego. Oto właśnie widzicie na drugostronnym obrazku, używającego tych roskoszy flisaka, któremu się wesołe dziewki z okolic Gdańska przysłuchują, a on im żwawego obertasa wycina na skrzypeczkach... Czy słyszycie tę ochoczą i żwawą nutę znajomego wam tańca?.. Czy widzicie, jak się śmieją oczęta krzepkich dziewoi, a jak tam wszystkim rozkosznie na tem wybrzeżu, że im aż malarz (p. Stryjowski) pozazdrościł piękności i przeniósł na płótno całą a uroczą ich grupę... Miał bo też bardzo wdzięczne pole do wymalowania pełnego uroku i rzewnéj zadumy obrazu... Z za opłotka przyrządzonego przez flisaków na prędce, przygląda się jeden używający wywczasu, wsparł pogodną i spokojną swą twarz na założonych rękach, i duma, nuta usłyszanéj piosnki w rodzinne przeniosła go strony... więc myśli o nich... cieszy się nadzieją powrotu i rozkoszą ogrzania się przy czeladce rodzinnéj. Drugi młodszy dojada drewnianą łyżką wieczerzy... ale i jemu nuta piosenki za silnie przemówiła do serca... wstrzymał łyżkę w połowie drogi do ust i zagapił się... To zagapienie się jego, tak naturalnym oddane wyrazem, że z niego całą grę uczuć serca i myśli duszy jego wyczytasz... Tam znowu nieco daléj przyrządzają wieczerzę...

I z garnków z pożywną warzą
Chmury się dymów rozłażą...

A już z wszystkiego najżywsza, najwięcéj interesująca ta grupa trojga ludzi na przodzie... Janek *flisak* gra na skrzypeczkach... może własnego wyrobu, może z téj lipy... pod któréj cieniem dziecięce przepędzał lata, a słuchające go dziewki ledwo nie podskoczą do tańca, tak im *raźno*, tak ochoczo, takie rade grajkowi... A wszystko to dzieje się wieczorem letnim nad Wisłą. Niebo zasiane gwiazdami... przeglądającemi się w lusterku wodném, tak samo, jak owa kalina co to

„Jak w lusterko patrzała w wodę“...

tam w dali fale w łuskę pomarszczone... a w powietrzu cisza i pogoda — i taka błogość, jak

w duszy człowieka, kiedy się z grzechów wyspowiadał Bogu—i oddycha spokojem i swobodą...



Wieczór nad Wisłą (podług obrazu Stryjowskiego—Strona 267-a).

Do takiego to obrazka natchnęło malarza, życie pełne poetycznéj prostoty naszych flisaków. Skorośmy wam zaś pierwszy obrazek mniéj więcéj już wyjaśnili, nie odrzeczy będzie pomówić parę słów o samych flisakach.

P. Lucjan Tatomir, pisarz, z wielkim wdziękiem zajmujący się opisami rozlicznych właściwości i osobliwości ziemi naszéj, tak opowiada o flisakach:

„Flisem albo flisakiem nazywano w dawnéj Polsce w ogóle wszystkich marynarzy, tak sterujących



Tańczący Flisacy (kopja z obrazu Stryjowskiego —Strona 270-a).

statkami po morzu, jak spławiających po rzekach naszych na tratwach, szkutach lub dukosach drzewo, zboże i inne płody naszych rél i lasów. Kwitnęło też zdawna flisactwo w Polsce i owszem w czasach odleglejszych, rozwijało się na szersze rozmiary niż w nowszych.“

W wiekach X i XI, kiedy główny trakt wodny pomiędzy Gdańskiem a Szczecinem przechodził nie morzem, lecz środkiem ziem Polskich, byli flisacy prawdziwymi marynarzami, a jezioro Gopło było jakoby morzem śródziemném, łączącém w jedną sieć wód dorzecze Warty i Odry z dorzeczem Wisły. Z opadnięciem wód Gopła i przerwaniem wodnéj komunikacji pomiędzy Wartą a Wisłą, stracili i flisacy znaczenie marynarzy i spadli do rzędu zwyczajnych wioślarzy rzecznych, których główném polem działania stała się Wisła, z uchodzącemi do niéj spławnemi rzekami. Obszerny handel zbożowy prowadzony Wisłą przez Gdańsk a zagranicą, zatrudniał jeszcze zawsze bardzo wiele rąk, i jeszcze w XVI i XVII wieku, była taka wielka liczba flisów w Polsce, że *Volumina legum* nałożyły na nich podatek osobisty, po groszy 20 od osoby, od czego byli wolni ci, którzy płynęli na statkach szlacheckich, a ich poddani byli właśni.

Przysłowie z owych czasów: „nabożeństwo flisowskie“ gdy kto zajadle przeklina, charakteryzuje tych żeglarzy. Sebastjan Klonowicz poeta z XVI wieku, w wierszu p. t. „*Flis*“ (stanowiącym sporą książeczkę), opisał wiernie zwyczaje flisów wiślanych i zachował ówczesny język flisowski, który każdy z tych żeglarzy musiał dobrze umieć, aby nie był za fryca wzięty i za nieumiejętność karany. Język ten utrzymał się dotąd pomiędzy flisami, tylko znacznie wzbogacony. Podobnież charakter ich i obyczaje mało się zmieniły, jakkolwiek żegluga parowa, zaprowadzona na Wiśle znacznie podkopała dawne znaczenie tych żeglarzy rzecznych. Pracowitość, odwaga i dzielność odznacza flisów wybitnie. Flisostwo idzie rodami u mieszkańców nadwiśla. Jadąc galarami z produktem, wracają gromadnie, ochoczo śpiewając za wtórem swego grajka. W drodze z powrotem wybierają najradziéj miejsca spoczynku pod figurą czyli pod krzyżem, a stanąwszy pod drzewem czy to pod grubą sosną, czy starym dębem, wycinają korę i w pień drzewa wprawiają obrazek Matki Boskiéj, aby towarzyszom płynącym tąż samą drogą, przymnożyć miejsc spoczynku. W Gdańsku, prócz innych drobiazgów, kupują ulubione i niezbędne przy ich stroju pasy włóczkowe ponsowe, którémi opasują się czy po koszuli pod kamizelką, czy po wierzchu swego żupana. W XVI wieku stroili się w sute kerezye, czapkę magierkę, w białe szarawary, buty z długiemi cholewami po kolana i taki sam pas ponsowy, jak dziś. Najulubieńszą ich potrawą w czasie spławu jest pęcak, czyli kasza jęczmienna, suto okraszona słoniną i skwarkami, czyli szwedami jak zowią i tę potrawę nazywają flisowską jarzyną. Do swego zawodu przywiązani są namiętnie i Sebastjan Klonowicz trafnie powiada:

„Bo kiedy już flis zasmakuje komu,
Już się na wiosnę nie zastoi w domu,
Choćbyś mu stawiał najlepszą zwierzynę,
Przecie on woli flisowską jarzynę.“

Tyle pisze p. Tatomir o flisakach.

W jednem zaś z dzieł tegoż autora czytamy o Wiśle ustęp, który uznajemy również odpowiednim do niniejszego naszego artykuliku: „Spławną jest Wisła już od ujścia Przemszy; żegluga zaczyna się od Krakowa. Statkom większym sprzyja jednakże tylko średni stan wody, około Ś-go Michała, mniejsze tylko mogą chodzić od lądu do lądu.

Spław rozpoczyna się zwykle od połowy Kwietnia, a ustaje najczęściéj już w ostatnich dniach Października. Wisła zamarza bowiem albo w połowie Listopada, albo najpóźniéj w Styczniu (jak się to właśnie tego roku przydarzyło) i zwyczajnie bywa pokryta lodem przez 66 dni, ale bywają zimy, w których wcale lodem się nie ścina. Krę znosi najwcześniéj na górnym biegu, niekiedy już w Lutym; pod Warszawą puszczają lody zwyczajnie dopiero w Marcu.

Wezbrania bywają zawsze na wiosnę po puszczeniu lodów, a prócz tego zwykle jeszcze w końcu Czerwca i Lipca, albo też w początku Sierpnia i noszą nazwę: „*Świętojanki* i *Jakóbówki*.“ Sprowadzają te wylewy topniejące śniegi na wierzchołkach Karpat i jesienne deszcze. Przyczyną powodzi i w innych porach bywa także wiatr zwany *morka*, sprowadzający zwyczajnie drobny deszczyk. Wiatr ten wiejąc dni kilkanaście od morza, tamuje prędki odpływ wody i podnosi jéj stan.“

Drugi obrazek tegoż Stryjowskiego — (Strona 269-a) przedstawia jednę z najmilszych zabaw i rozrywek flisaków, to jest: *Taniec*. Przypatrzcie się dobrze tym charakterystycznym grajkom, z jaką oni swobodą i upodobaniem w swém *rzemiośle* (artystycznem) wycinają jakiegoś skocznego tańca, przypatrzcie się tym zuchom, co się popisują przed poważnie a jednak bez przymusu, otaczającymi ich flisami! Jak się to tam rozparł na kłodzie drzewa najstarszy, jaka powaga bije mu z pogodnego czoła!.. W jaki uśmiech układają się pod gęstym wąsem, wargi jego... Nie szyderstwo gra w nich, nie krytyka wielkoświatowa, ale serdeczna, szczera ochota i zadowolnienie z uciechy towarzyszów.

I tu znowu toż samo pogodne niebo Nadwiślańskie, ta sama błoga cisza... rozlewająca urocze natchnienia w sercu tych, którzy nie zobojętnieli na cuda natury... i obfite jéj skarby.

J. K. Turski.

WYCIECZKA W PŁOCKIE.

(Ciąg dalszy, patrz Nr. 21-y).

— Poganiajcie szkapiny, poganiajcie, zawołał pan Adam na woźnicę, trzeba nam zajechać jeszcze przed wieczorem, bo niebo się chmurzy i może być deszcz.

— E, proszę panów, odpowiedział zagadnięty, deszcz jak deszcz, to fracha, ale i mnie się spieszy żeby się nie spotkać w nocy z tym *kusym*...

— Z jakim kusym?

— O, panowie widno nie tutejsi. A no *z kusym*, co to ludzi zwodzi i psie figle im płata.

— Pewnie z djabłem *Borutą?*

— A juści, tak się pono nazywa. Tylko proszę łaski pana, nie trzeba mu tak po imieniu mówić, bo się gotowa bestja zjawić i narobić nam biedy.

— Za cóżby się miał na nas gniewać? przecież kiedy djabeł to djabeł, nie ma się czego obrażać...

— Hm, ale kuty na czetery łapy i lada co mu się nie spodoba. Galant psiapara i szlachcic podobno. Oho, pamiętam cztery lata temu jechałem do Łęczycy na jarmark, a że mnie noc zaskoczyła i ciarki jakieś zdjęły, wypiłem sobie na fantazyją trochę gorzałki, splunąłem i pomyślałem: nie wywiedziesz mnie kochanku w pole, nie... Ale! Jak się przyczai, jak się nie uweźmie, jak pocznie tumanić i mydlić

oczy, to błądziłem przez kilkanaście godzin po rowach, dołach, łąkach i moczarach, porozbijałem na drzazgi wóz, pogubiłem rzeczy, pomęczyłem konie, i spocony, zabłocony i zmartwiony, klnąc w duchu musiałem oklep przyjechać do domu, bez zarobku i bez jarmarku. Tak to mnie i niejednego już wykierował na dudka.

— Nie djabeł to braciszku, nie djabeł, zawołał kolega, ale gorzałeczka, gorzałeczka. Gdybyś był trzeźwy, nicby ci się złego nie stało, ale przebrało się miarkę, zjechało się z drogi i dalejże błądzić po manowcach i dziurach. Potem, rozumie się wstyd, trzeba na coś lub na kogoś spędzić. Najlepiéj na Borutę, który ani istniał ani istnieje, chyba tylko w wymysłach ludzkich, zwalających zawsze winy na jakiegoś kozła, nie mogącego świadczyć i bronić się. Oj, żeby nie ta gorzałka, moglibyście być bardzo szczęśliwi.

— Co paniczek tak się na gorzałkę sierdzi, kiedy to stworzenie boskie, to widać że i potrzebne.

— Przyjacielu, nie boskie ale ludzkie, bo ludzie ją wymyślili żeby mieć lekarstwo, i jako takie jest czasem niezłą. Lecz użyta zanadto szkodzi duszy i ciału, jak wszystko co użyte zanadto, nawet chleb i woda, robi z ludzi zwierzęta, doprowadza ich do kłótni, zabójstw, zgorszenia, obrazy Pana Boga, do głodu, żebraniny, do złodziejstwa i więzienia. A co, nie mam racji? Porzućcie ją do licha, bo wam dobrze radzę.

— Hm, hm... Hetta wio, trzeba nam się spieszyć bo deszcz jéno wisi.

Obrok duchowny nie smakował widać woźnicy. Uśmiechnęliśmy się nieznacznie, bo i nasz Piotr chrząkał i kaszlał, i miał jak się zdaje ochotę gorąco bronić *spirytualizmu*, którego w praktyce wielkim był także zwolennikiem i wyznawcą, a do czego przeszkodził mu tylko tym razem rzeczywiście nagły ulewny deszcz, zmuszający nas wszystkich chować się w skulonéj i milczącéj postawie pod kaptury i parasole. Ciemno się zrobiło na dworze gdyśmy nareszcie stanęli przed jakąś karczmą. Obszarpana i podziurawiona na zewnątrz, wewnątrz wyglądała gorzéj niż stajnia i obora. Zjadłszy po kawałku chleba i po jednym śledziu, wypiwszy po kufelku piwa i zapłaciwszy za to bajecznie wysoką cenę, pojechaliśmy daléj, nie bez obdarzenia karczmarza porządną nauczką rzetelności i sumienności względem podróżnych.

Deszcz przestał padać, niebo się wypogodziło, gwiazdki na błękicie poczęły mrugać i migotać, w powietrzu zrobiło się cicho, spokojnie i ciepło. Zaintonowaliśmy wesołą piosnkę, potem drugą, trzecią i tak daléj aż do nieskończoności. Piotr także się rozochocił i basował jak przedęty puzon.

— No, no, odezwał się woźnica, aż miło jechać z panami. I *kusemu* się to widać podoba, bo nic nie mówi i nie wydziwia...

— A widzisz przyjacielu, że bajki o waszym Borucie. Toć sobie kpimy z niego, nie prawda?.. A daleko jeszcze mamy do Łęczycy? zapytałem.

— Niedaleko. Dy już widać jak się w mieście świéci.

Rzeczywiście, słabe światełka latarni przebijały się choć z mozołem przez nocną pomrokę i kazały nam się domyślać że kres dzisiejszéj podróży zbliża się pomału ku wielkiemu naszemu a szczególniéj mojemu zadowoleniu, pragnącemu od tak dawna ujrzeć jeszcze choć szczątki tego starożytnego grodu, tych walących się murów, tego błota i piskorzy, dotknąć się ręką, zobaczyć własnemi oczyma ten wiekowy pomnik prawodawstwa, cnót, podań, dziejów, dramatów, a choćby i swawoli przeszłości. Wszystko to, wszystko chciałem widzieć, objąć, ukochać i ucałować. Samego Borutę byłbym całował i ściskał, bo choć to djabeł, ale nasz rodzimy djabeł; wżył się, pobratał się z nami i z naszemi skłonnościami. Panom braciom choć figle płatał, ale to tak sobie — dla animuszu, nie ze złego serca. Nieraz przecie jadł, pił i baraszkował z nimi, hulał na weselach i chrzcinach, umizgał się do ładnych dziewcząt, a choć tam komu czasami wykroił i jakiego psikusa, to nie gniewał się wcale gdy w odwet sam dostał niekiedy po łbie lub po łapie, byle po rycersku. Wylizał się nieborak, a nie mogąc żyć bez kompanji i awantur, znów wszędzie było go pełno, znów się bawił, chichotał, pił wino i miód całemi beczkami jak smok wawelski. I tak dumając to o tem to o owem, stanęły mi w myśli całe dzieje Łęczycy, niegdyś stolicy osobnego księstwa, o któréj pierwszą wzmiankę znajdujemy pod r. 1108 w wojnie między Bolesławem Krzywoustym a bratem jego pobocznym Zbigniewem. Za Kazimierza Sprawiedliwego r. 1180, odbył się tu pierwszy sejm i ułożono prawa obowiązujące. Władysław Łokietek udział Łęczycki jako swoję własność przyłączył do reszty państwa. Tutaj odbyło się najwięcéj Synodów duchowieństwa (21), a oprócz pomyślności i bogactwa, miasto obdarzone przywilejami wzrastało w ludność, handel i przemysł. Dopiero od najścia Szwedów r. 1655 poczęło się zwolna chylić ku upadkowi. Wreszcie pożar r. 1794 większą część zabudowań zamienił w popiół.

— O czem pan dumasz? zapytał mnie p. Adam.

— O Łęczycy.

— A toć już w niéj jesteśmy.

Patrzę, istotnie—jedziemy po ulicy, po bruku, i zdjął mnie pewien rodzaj rzewnego uczucia uszanowania dla tego starożytnego miejsca, dla tych popiołów, które w niém spoczywają, dla tych postaci, dla tych mężów wielkich, którzy tu ongi po niéj kroczyli.

Stanąwszy w hotelu, po herbacie i przekąsce napaliliśmy sobie w piecu, a ćmiąc cygara i papierosy toczyliśmy wesołą gawędkę o najrozmaitszych rzeczach aż do północy.

— No, czy wiecie po co tu przyjechaliśmy? zawołał wreszcie p. Adam, kładąc się spać.

— Nie wiem, odpowiedziałem.

— Odwiedzić mojego szwagra...

— Ach prawda, księdza Teofila, czy tak?

— Tak, tak. Piotrze, pójdziesz jutro rano do księdza prefekta i uprzedzisz go o naszéj wizycie.

— Dobrze, proszę pana.

Nie będę tu opisywał onych czułych i serdecznych scen, które miały miejsce nazajutrz przy spotkaniu się z ks. Teofilem; z żalem przychodzi mi pominąć gościnność szanownego proboszcza, i pełne szczerości przyjęcie u zacnego i szlachetnego Inspektora Szkoły Powiatowéj; zamilczam o miłém dla mnie spotkaniu się tutaj z dawnym moim profesorem matematyki, gdyż są to tylko osobiste moje i towarzyszów podróży uczucia i wrażenia, a zatem jako takie, wątpię czy mogłyby kogokolwiek zająć i zaciekawić. Wolę natomiast za-

znajomić czytelników z niektóremi osobliwościami i pozostałemi jeszcze kilkoma starożytnościami odwiecznego grodu, co zdaje się, niepowinno być dla nikogo obojętném, ale owszem koniecznéem i potrzebném. (*dalszy ciąg nastąpi*).

POGADANKI PRAWNE.

IV.

O Testamentach.

Prawo szanując wolność indywidualną człowieka, w zawiązywaniu stosunków w ciągu jego życia, dozwoliło również woli jego sięgnąć i po za zakres jego bytu, przez pozostawienie rozporządzenia na przypadek śmierci względem owoców pracy, które tak mozolnie zbierał. Swoboda ta jednak przeniesienia majątku na następców, nie mogła być uznaną za absolutną, bez naruszenia świętości związków, które z miłości rodzicielskiéj początek wzięły i dla tego prawodawca przez cześć dla idei familji, ścieśnił możność nieograniczonego rozpraszania majątku przez zapisy testamentowe na rzecz obcych czynione. Co więcéj, mając na pamięci smutne doświadczenia wieków przeszłych, nie mógł on polegać na sumieniu rodziców, zdawać się na ich uczucia często zaparte i zezwalać, aby własne dzieci niesprawiedliwie usuwali od udziału w spadku —lub zmniejszali takowy dla kaprysu, ale sam własną siłą i powagą, uwzględniając wolność rozporządzania, postawił granice rozszafowywania majątkiem. Bez względu na pochodzenie pozostałego majątku, czy on jest rodowy lub nabyty, prawo podzieliło całą massę spadkową na *część* zwaną *rozrządzalną* którą testatorowi wolno rozdarować na przypadek śmierci, i na część któréj tknąć nie może to jest *część obowiązkową*. Obiedwie te części nie są i nie mogą być stale obliczone, ale zmieniają się wedle liczby przeżywających testatora osób jego familji najbliższych, to jest: zstępnych — dzieci i wnuków; wstępnych, rodziców lub dziadów i współmałżonka, jako mających prawo do części obowiązkowéj czyli tak zwanéj legitymy. Jeżeli więc testator zostawia jedno dziecko, część obowiązkowa mająca go dojść koniecznie, wynosi połowę spadku; gdy zostawia dwoje dzieci, dwie trzecie części spadku są ich własnością; troje zaś lub więcéj weźmie trzy czwarte całości majątku. W braku dzieci; do części obowiązkowéj przychodzą wstępni i wtedy stanowi ją jedna czwarta spadku dla każdéj osóbno—ojczystéj i macierzystéj-linji; jeżeli więc tacy krewni są tylko z jednéj linji, część obowiązkowa będzie jedna czwarta, gdy z obu, równa będzie połowie pozostałości.



Antoni Wawrzyniec Lavoisier (Strona 273-a).

W zbiegu z pierwszą lub z drugą gruppą suksessorów wymienionych, legityma zawsze należy współmałżonkowi testatora i jego dziecku naturalnemu prawnie uznanemu, których udział wynosi połowę tego, co by oni przy spadku z prawa otrzymać mogli. Oznaczenie jednak liczebne tych ostatnich sched, przy zbiegu z dziećmi lub rodzicami zapisodawcy, nastręcza trudności wielkie, zwłaszcza wtedy gdy *minimum* rozrządzalności stanowi $^1/_4$ część, któréj obciążać temi schedami nie należy. Nakoniec ponieważ w linjach bocznych krewni: jak bracia, siostry i ich dzieci, nie mają legitymy, przy ich więc obecności, testator nie będąc niczém krępowany, może cały majątek przez zapisy wyczerpać.

Zapisy testamentowe są trojakie: ogólne, pod tytułem ogólnym i szczególne. *Ogólny zapis* jest wtedy, gdy testator nadaje jednéj lub kilku osobom całość majątku, nie oznaczając części jaka na każdą z nich przypadnie. Jeżeli wola testatora wymienia jakąś część majątku np. $^1/_2$, $^1/_3$ albo wszystkie ruchomości lub same nieruchomości, wreszcie pewną część ruchomego i nieruchomego majątku na jedną osobę przejść mające, to rozporządzenie takie będzie *zapisem pod tytułem ogólnym*. Darowanie zaś pewnéj ściśle oznaczonéj rzeczy, stanowi *zapis szczególny*. Oprócz tych legatów bywa jeszcze zapisywane użytkowanie z dóbr ziemskich lub domu, celem ciągnięcia z nich dochodów przez pewną liczbę lat lub dożywotnio. Każdy z wymienionych zapisów może być prosty, lub uczyniony pod pewnymi warunkami, z terminem, albo też być obciążony jakiemi obowiązkami—co wszystko zależy od woli testatora.

Wszystkie rozporządzenia testamentowe osoby mającéj się przenieść do lepszego świata, aby były wykonalnémi po jéj śmierci, muszą być zdziałane *pod nieważnością* w formie prawnéj, która zapobiegając nadużyciom fałszującym wolę rzeczywistą zmarłego, ma przekonywać o jéj prawdziwości. Chociażby zatem umierający ustnie wyjednał od swoich sukcessorów zapewnienie wykonania jego słownych dyspozycji majątkowych, to jakkolwiek dla uczczenia pamięci ojca, brata lub przyjaciela, mogą oni mieć pewien obowiązek moralny spełnić życzenie w takiéj uroczystéj chwili objawione— wszelako przyrzeczenie dane wcale, ich prawnie nie wiąże i legat w téj formie uczyniony uważa się za żaden, skoro nie ma aktu przez kodex wymaganego. Kodex zna trzy rodzaje takich aktów testamentów: własnoręczne, przez akt urzędowy i tajemne; wszystkie one nie różnią się co do treści, ale tylko co do formy i każdemu wolno wybrać między niemi, dla spisania swéj ostatniéj woli. Ponieważ ma to być ostatnia wola, powoływanie więc w akcie rozporządzeń, gdzieindziej (w innem piśmie) poczynionych, testamentu stanowić nie będzie, trzeba aby one były powtórzone.

Testament własnoręczny winien być pisany, datowany i podpisany własną ręką testatora. Może być sporządzony w formie listu, w kalendarzu, w księdze rachunkowéj, na oddziel-

☞ **Patrz Dodatek.**

Dodatek do Nru 22go Opiekuna Domowego 1870 r.

nych kartkach papieru, a nawet pisany ołówkiem, będzie on zawsze ważny, aby tylko warunki wyżéj wyliczone były rygorycznie spełnione. Nie potrzebuje być zapieczętowany, może być oddany w ręce innéj osoby do zachowania lub pozostać u testatora.

Testament urzędowy ma być przyjęty przez dwóch Rejentów i dwóch świadków, lub jednego Rejenta w obec czterech świadków. Rejent musi łączyć w sobie przymioty wymagane dla aktów dobréj woli, w ogólności nie może przyjmować testamentu po za swą jurysdykcją terrytorjalną. Nadto Rejenci spisujący akt, nie mogą być między sobą krewnymi lub powinowatymi w linji prostéj bez ograniczenia, a w linji bocznéj do trzeciego stopnia włącznie. Nie mogą oni być wezwani do sporządzenia testamentu, w którymby ich krewni lub powinowaci w tychże stopniach byli bądź zapisodawcami lub zapisobiercami, a tembardziéj gdyby dla nich samych miał być zapis uczyniony. Co do świadków, to oni winni mieć warunki zdolności fizycznéj i moralnéj, aby dokładnie pojęli co testator mówi i byli w możności zapewnić o dopełnionych formalnościach prawnych. Przedewszystkiem winni rozumieć jezyk w którym testament jest dyktowany, a może to nastąpić w każdéj mowie, chociaż sam akt ma być przez Rejenta osobiście pisany w języku urzędowym. Dyktowanie testamentu przez zapisodawcę nie jest tylko wyrażeniem ogólnem, ale w całéj ścisłości winno być osobiście dopełnionem, dla tego też każdy inny sposób objawienia woli nie wystarcza. Gdyby więc testator zamiast dyktowania, wolę swą oznajmił przez pewne znaki lub gdyby testament był spisany z notatek Rejentowi oddanych, podobnież w formie odpowiedzi testatora na pytania przez Rejenta zadawane— testament będzie nieważny. Wszakże Rejent nie jest obowiązany pisać wyraz za wyrazem, dosyć gdy redakcja testamentu odpowiada ściśle treści i znaczeniu dyktowania. Testament w takiéj formie spisany, musi być w obecności wszystkich świadków w całości z odsyłaczami odczytany przez Rejenta, nigdy zaś przez testatora; cel bowiem odczytania służy do zapewnienia się, że czyniący ostatnią wolę używa potrzebnych zmysłów, to jest: że umie niętylko mówić ale i słyszeć. Formalnością równie ważną jest podpisanie aktu przez testatora, Rejenta i świadków i wtedy dopiero akt ten jest testamentem urzędowym. Jeżeliby więc śmierć nastąpiła przed podpisaniem testatora lub przed położeniem podpisów przez Rejenta i świadków, to akt taki jako niezupełny, jest nieważnym, bo akt zupełny może pochodzić tylko od człowieka żyjącego. W razie nieumiejętności lub niemożności podpisania przez testatora, wzmianka o tem winna być uczynioną, a oświadczenie o powodzie nie podpisania, winno od testatora pochodzić.

Trzecim rodzajem testamentów jest *testament tajemny* (mistyczny). Akt ten różni się tem od testamentu własnoręcznego, że kto chce wolę ostatnią objawić w téj formie, może testament sam napisać lub polecić to innéj osobie na któréj korzyść ma być uczynione rozporządzenie. Testament taki winien być podpisany, data zaś nie jest bezwarunkowo wymaganą. Pismo takie winno być zamknięte i opieczętowane tak, aby nie można go usunąć bez nadwerężenia pieczęci. Pieczęć wszakże winna mieć pewne znaki, bez nich nie jest dostateczną i może nie być własną testatora. Testament mistyczny, aby stał się ważnym, ma być przedstawiony Rejentowi w obecności sześciu świadków, z oświadczeniem: że akt ten zawiera rozporządzenia na przypadek śmierci, przez testatora jest pisany—lub przez kogo innego — i przez niego podpisany. Po takiem złożeniu tego dokumentu, Rejent na kopercie jego obowiązany jest poświadczyć: że testator akt ten przedstawił i zadeklarował, że to testament. Protokół taki zowie się ,,aktem nadpisu" i ma być podpisany przez Rejenta, testatora i wszystkich świadków. Obok tego, jeżeli testator oddał testament bez podpisu, to on będzie ważnym wtedy, gdy w akcie nadpisu o téj okoliczności wzmiankowano i przy tym wypadku winien uczestniczyć jeszcze jeden — siódmy świadek. Testamenty wszystkich wymienionych form, oprócz rozporządzeń majątkiem, mogą obejmować mianowanie specjalnych ich wykonawców, którzy noszą charakter tylko pełnomocników zmarłego. Nie mają oni żadnego obowiązku przyjmować na siebie straży ścisłego wykonania woli ostatniéj testatora, ale kto raz takową przyjął, bez ważnych przyczyn opuścić jéj nie może. Obowiązki ich w tym przymiocie są czysto osobiste, gdyby więc wykonawca testamentu zmarł przed ukończeniem spraw działowych, sukcesorowie jego są zupełnie wolni od dalszego zajmowania się interessami spadkowémi. Koszta wszelkie jakieby wykonawca poniósł, mają być pokryte z massy spadkowéj, o ile będą słuszne i usprawiedliwione. Brak zachowania form testamentowych pociąga, jak powiedzieliśmy, nieważność całego testamentu i zdawałoby się że przy wykonywaniu ich żadne trudności istnieć nie mogą; tymczasem w praktyce spotykane bywają najrozmaitsze pod tym względem odróżnienia. Co więcéj, sama osnowa testamentów przedstawia liczne kwestje, tak, że wyśledzenie rzeczywistych zamiarów zapisodawcy, jak również redakcja zapisów, przekraczających część obowiązkową, muszą być oddane do rozstrzygnięcia Sądowi, który przy ścisłem zastósowaniu przepisów prawa wyrokuje, szanując o ile można i wolę zmarłego. *Henryk Turowski.*

ANTONI WAWRZYNIEC LAVOISIER.

Życie uczonego, cichego badacza natury lub ducha ludzkiego, pospolicie uważane bywa za jeden z najnudniejszych i najbezbarwniejszych obrazów. Pracowita młodość, okolicznościowe zabłyśnięcie talentu, walka powołania z chimerą i ciemnotą rodzeństwa, brak majątku, potrzeby ubóstwa, kłopoty urzędu i poważnych studjów, czasem także nienawiść głupoty i przemożnego przesądu, oto są zwykłe elementy, jak powszechnie mniemają, z których się składa obraz życia, każdego prawie uczonego. Gdyby tak było, to możnaby śmiało wyrzec z filozofem: ,,Szczęśliwy naród, którego historja jest nudną." Ale rzecz się ma inaczéj. Jakkolwiek małe przypadki życia, mogą przejść bez widocznego na uczonego wpływu, ale za to wielkie burze świata, wciskają się do jego cichego gmachu. Uczony jest także człowiekiem i jego serce bije jak i innych ludzi. Uczony jest także obywatelem i nie będzie głuchym, gdy go powinność zawoła. Uczony tak samo jak i poeta, umiera jako rycerz na polu bitwy lub na szafocie, jako męczennik.

Jeżeli życie uczonego przypadnie na czasy burzy, przesuwającéj się po nad narodami, będzie to samo, jak gdybyśmy pisać mieli o losach i czynach rycerza. Czas ten leży niedaleko, 75 lat za nami. Jest to czas owych konwulsji, wśród których Francja rozrywała pęta złych nałogów, przywilejów i zabobonu. Wówczas to w krwawych zapasach czynu z historycznem prawem, nauka stawiła także swych rycerzy i ofiary. Na czele owego słynnego zgromadzenia narodowego, widzimy znakomitego uczonego, jako wzór cichych cnót, nieszczęśliwego Bailly. Z mównicy krwawego konwentu, słyszymy natchnione słowo innego znów uczonego Condorcet'a. W straszliwym wydziale obrony krajowéj obok Robespier'a, Saint-Just'a i Couthon'a, spotykamy trzeciego uczonego, sławnego matematyka Carnot'a. Uczony ten stwarza armije i organizuje zwycięztwa przeciwko całéj Europie. Uczeni chemicy: Chaptal, Fourcroy, Monge, Berthollet, stwarzają broń tym

armiom, wydobywając z własnéj ziemi saletrę, któréj z zagranicy otrzymać nie mogą, a dzwony przelewają na armaty. Uczonym jest również Meunier, który porzuca swe laboratorium, dla kierowania świetną obroną Moguncji i dla poniesienia na jéj wałach bohaterskiéj śmierci. Cóż się jednak dzieje z nauką, wobec owych politycznych czynów? Czyż możliwem jest pióro z mieczem pogodzić? Takie pytania rzucają zwykle ludzie przy ciepłym piecu, z poza książkowego stolika. Fakta same dają odpowiedź.

Pomyślmy tylko o znakomitéj szkole normalnéj, polytechnicznéj, o historyczno-naturalnem muzeum, o konserwatorjum sztuk i rzemiosł, o zaprowadzeniu nowego systemu miar i wag, a będziemy mieli czyny krwawego konwentu! Ta sama ręka, która musiała podpisywać krwawy wyrok, pisze ową sławną ,,geometrję i metafizykę nieskończonego rachunku.“ Wprawdzie burza nie jeden kiełek niweczy, nie jedna ofiara upada pod ciężarem politycznych nieszczęść. Największą zaś ofiarą, jaką wydała nauka i którą na krwawym ołtarzu rewolucji złożyła, była to głowa twórcy dzisiejszéj chemji, nieśmiertelnego *Lavoisier'a.*

Antoni Wawrzyniec Lavoisier przyszedł na świat w Paryżu dnia 16 Sierpnia 1743 r. Ojciec jego dorobił się handlem znacznego majątku, był zarazem miłośnikiem nauk przyrodzonych i zostawał w ciągłych stosunkach z najznakomitszymi badaczami w Paryżu. Wszystko więc sprzyjało, aby zapewnić młodemu Lavoisier, jak najstaranniejsze wychowanie. Najznakomitsi uczeni byli jego nauczycielami i nic nie stanęło na zawadzie do swobodnego rozwijania się jego geniuszu. Lacaille był jego nauczycielem astronomji, Jussieu botaniki a Rouelle pierwszy ówczesny chemik, który istotę soli rzetelnie rozpoznał, wykładał mu chemję. Już w 21 roku miał Lavoisier sposobność swój młody talent spróbować w praktyce i naukowemi poszukiwaniami zjednać sobie zaszczytne imię. Akademja francuzka, w skutek polecenia rządu, wyznaczyła nagrodę 2000 liwrów za najlepszą rozprawę o *oświetlaniu ulic Paryża.* Najmożliwsza jasność, najmożliwsza lekkość apparatów i najmożliwsza oszczędność kosztów, miały być jednako uwzględnione. Lavoisier podjął się rozwiązania tego trudnego zadania i pokazał światu, do jakiéj energji, do jakiego poświęcenia zdolny jest dla nauki. Zajęty porównywaniem mocy światła rozmaitych płomieni, przekonał się, że jego wzrok nie posiadał dostatecznéj zdolności do jéj rozróżnienia. Dla nabycia téj zdolności, znalazł się środek dość odstręczający dla 21-letniego młodzieńca, któremu młodość i bogactwo, tysiące przyjemności nastręczały! Jednak wybrał go. Kazał on ubrać pokój zupełnie czarno i zamknął się na 6 tygodni w ciemności. Tym sposobem swój cel osiągnął bo jego wzrok nabył tak delikatnego czucia, że najsłabsze odcienie światła nie uszły już jego oka. Lavoisier rozwiązał zadanie w taki sposób, że Akademja przyznała mu nagrodę, którą jednak szlachetny Lavoisier rozdzielił między trzech swoich współzawodników, jako zwrot wyłożonych przez nich wydatków. W nagrodę za ten czyn chwalebny, król w r. 1766 ozdobił go złotym medalem, a w 25 roku życia, przyjęty został na członka Akademji nauk.

Teraz to rozpoczyna się właściwie jego chemiczna działalność, która w początku rozdzielała się na odpieranie dawnych i nowych błędów, wkrótce jednak spotęgowała się w zadaniu, które stanowiło punkt środkowy jego całego żywota i nadało nauce godło, którem miał walczyć i zwyciężyć. Było to dzieło reformy na polu chemji. Ażeby się poświęcić w zupełności swojemu zadaniu i nie być ograniczonym w środkach do jak najobszerniejszych doświadczeń, wystarał się w r. 1771 o korzystny urząd jeneralnego dzierżawcy. Urzędy pod Ludwikiem XV i XVI były sinekurami, środkami do wygodnego życia; dla czegóż się mamy dziwić, że Lavoisier otrzymał urząd, jako środek do naukowych celów! Zresztą na tym urzędzie miał niezmierną sposobność, swoje wiadomości zastósować dla dobra kraju i narodu. We wszystkich publicznych zdarzeniach, gdzie tylko potrzebowano wiadomości naukowych i praktycznego poglądu, używano jego rady. Gdy w r. 1776 postawiony został na czele komissji prochu i saletry, uczynił proch francuzki wyborniejszym od prochu wszystkich innych państw Europy; przytem uwolnił kraj od uciążliwego prawa, gdzie każdemu urzędnikowi wolno było wciskać się nawet przemocą do wszystkich piwnic, dla dobywania ztamtąd ziemi saletrzanéj. To źródło pomocnicze uczynił zbytecznem, ogłaszając sposób sztucznego fabrykowania saletry, który jeszcze długo utrzymywał się po jego śmierci. Nadzwyczajnością był Lavoisier na polu nauki. Cóż jednak takiego mógł zdziałać dla nauki miljonowy, bogaty Lavoisier? zapyta się niejeden zdziwiony, opętany owem bezbożnem i nieludzkiem uprzedzeniem, jakoby duchowe czyny i badania prawdy, do odznaczenia się w wynalazkach i naukach, koniecznie tylko wymagały bodźców: głodu i nędzy. Nie pojętem jest, jak można jeszcze dotąd tak fałszywéj opinii hołdować. Wolno było synowi Katarzyny Medicis, Karolowi IX mawiać o swoim ulubionym poecie Ronsard'zie: ,,Dobry poeta nie powinien nigdy być tłustym, tak samo jak dobry koń; dostatecznem jest dla niego, kiedy nie umiera z głodu.“ Doświadczenie jednak już dawno zadało kłamstwo temu mniemaniu. Wielki Leibnitz był miljonerem, hrabia Buffon, Cavendish, Boyle, Watt, należeli do najbogatszych ludzi swojego czasu. Nie stawia się przecież uczonego na równi z robotnikiem warsztatów. Genjusz nie dla chleba pracuje. Popęd badawczy do podniesienia zasłony, którą natura swoje zjawiska okrywa, pochodzi od wewnątrz i podobny jest do cierpienia a można go tylko potęgować szlachetnym popędem ludzkości i patrjotyzmu. Genijusz produkuje, ponieważ produkować, w jego naturze spoczywa; uczony bada i rozmyśla, ponieważ w tem swoje upatruje przeznaczenie. Oburzamy się na knut dozorcy niewolników amerykańskich, a zalecamy moralny knut nędzy, na wolnem polu nauki!

Lavoisier miljoner, był twórcą nowéj nauki, dzisiejszéj chemji. Przemysłowe bogactwo naszego czasu, okrasa i wygoda naszego życia aż do tysiącznych drobnostek, zawdzięczają swój początek pracom tego uczonego męża. Dziedziczył on miljony, ale puścizna jaką zostawił, miała tysiąc razy większą wartość. Możnaby to za przesadę uważać. Może mniemacie, że tu jest mowa o bajecznych osobach, owych bohaterach i herkulesach, których chciwa cudowności fantazja Greków utworzyła sobie z tysiąca zapomnianych rycerzy. Lud prawdę mówiąc jeszcze dzisiaj jest taki sam jak przed 2000 lat. Dzisiaj jest również tak samo niewdzięcznym, zapomina z równąż łatwością imiona tych, którzy dla jego dobra pracowali. Mamy dzisiaj naszego Fausta i więcéj jak jednego herkulesa na polu nauki. Jakieżby mogło być w oczach ludu astronomiczne zjawisko, któregoby nie należało Herszlowi zawdzięczyć? Czyż Kopernik, Tyho Brahe, Newton, Euler, Watt i Volta, jak również Humboldt i Liebig nie są bohaterami nauki? Tak będzie i daléj, a zawsze lud będzie sobie stwarzał swoich bohaterów i ozdabiał ich blaskiem zapomnianych! Historja tylko pozostanie bez wszelkiéj poezji. Poważna i sprawiedliwa, oddaje cześć onym wybranym mężom, którym natura udzieliła swój szacowny przywilej, tysiące pojedynczych rozrzuconych faktów razem zebrać i z nich wielkie teorje tworzyć; ale ona nie zapomina również jak Arago powiedział: że ,,sierp żniwiarza musiał wprzódy kłosy podciąć, zanim pomyślano w jeden snopek je związać.“

Wielu takich żniwiarzy poprzedziło Lavoisiera; wiele pewników na których on swój wielki gmach wybudował, odkryto już przed nim, a nawet zasadnicza myśl jego teorji, nieraz również była wyrzeczoną. Pomimo to nie zmniejsza się własna Lavoisier'a zasługa, a jego imię nie błyszczy

przez to pożyczanem światłem. Zasługa Lavoisier'a polega nie na pojedynczem odkryciu, lecz na zestawieniu nieskończenie wielkiéj ilości pewników tak dawno już znanych jak i przezeń odkrytych w teorji; nie w objawieniu swoich poglądów, lecz w przeprowadzeniu wielkiéj idei, przez całe państwo doświadczenia.

Jedna myśl od r. 1772 wszystkie prace Lavoisier'a przejmuje i kojarzy: najprzód wyjaśnienie processu spalenia; daléj znaczenie kwasorodu (tlenu) i jego skutków w chemii. On to był pierwszy, który na najsprawiedliwszego sędziego w swoich doświadczeniach ustanowił *wagę*, ten jedyny język, który nigdy nie kłamie. Przenikliwość jego, gromadziła pojedyncze myśli do wielkiéj budowli, a pewność jego postrzeżeń dała jéj stałą podstawę.

Przed Lavoisierem wprowadzona przez Stahl'a teorja *flogistonu*, wiek prawie cały panowała w nauce chemii. Podług owéj teorji, przyczyną palenia miało być jakieś tajemnicze ciało, flogistonem zwane, przy paleniu z ciała ulatywać i popiół, ziemię lub też kwas zostawiać. Miało być lżejsze od powietrza i powiększać wagę ciała spalonego. Teorja ta, tak była prostą, iż najsilniejsze nawet umysły pociągnęła za sobą; ale z każdem nowem doświadczeniem stawała się coraz nieprawdziwszą i naukę tamującą, gdyż do coraz nowych mędrkowań i fantazji prowadziła. Lavoisier jednym zamachem zadał cios onéj teorji, a mianowicie czarodziejskiemi słowami wagi, któréj język rozwiązał.

Decydująca próba, z któréj świetna reforma chemii wychodzi, była następująca: Napełnia się retortę cyną, zamyka się hermetycznie i odważa. Przez ogrzanie, zamienia się cyna w kwas cynowy (Zinnkalk), waga retorty pozostaje niezmienną. Teraz otwiera się retortę, w którą wchodzi powietrze, a po odważeniu pokazuje się cięższą jak poprzednio. Pokazuje się że przewyżka wagi pochodzi od kwasu cynowego, że cyna przy utlenieniu tyle powietrza przyjęła, ile go w retorcie zniknęło a przy otwarciu tejże świeżo wpłyniętem zastąpione zostało. — Właśnie przed 100 laty robił to samo doświadczenie *Boyle*, ale jak częstokroć daleko od obserwacyi jakiegoś faktu, do jego wyjaśnienia i jak łatwo w nauce można coś dopatrzeć, a jednakże nie odkryć, tu się pokazuje wyraźnie. Boyle już widział co Lavoisier dostrzegł. Boyle jednak nie wiedział o ubytku powietrza, przy paleniu ciała i przypisał ów przybytek w wadze utlenionego metalu, pierwiastkowi palnemu płomienia; Lavoisier dopatrzył najważniejszą przyczynę, to jest zniknięcie powietrza i uznał palenie się, jako połączenie metalu z powietrzem.

(*Dokończenie nastąpi*).

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Wycieczka za granicę, Komedja w 1-ym akcie przez Kazimierza Zalewskiego.

Pan Kazimierz Zalewski, jeżeli się nie mylimy, po raz drugi debiutuje, jako autor, na scenie Teatru Rozmaitości.

Powyższa drobnostka dramatyczna, którą autorowi spodobało się nazwać *Komedją*, nie odznacza się, ani oryginalnością pomysłu, ani bystrością pisarską, ale bądź co bądź, napisana jest dość żywo i... dość zręcznie.

Treść do téj sztuki poczerpnął p. Zalewski z zakorzenionéj u nas podróżomanji, chociaż znowu na naszą obronę, manja ta nietylko w naszym kraju rozpościera swoje panowanie. Jest to powszechną słabością ludzkiego charakteru, chęć widzenia rzeczy nowych i twarzy nowych, idzie tylko o to, żeby taka peregrynacja, nie była bezcelową wycieczką, z któréj ani umysł, ani serce, nie odnosi żadnéj korzyści, a tembardziéj, godnem jest nagany, jeżeli podróże za granicę, spaczają umysł, brudzą serce, a tem samem trwonią ciężko zapracowany grosz krajowy, nie dając w zamian społeczeństwu z siebie żadnego moralnego pożytku.

Pan Zalewski, jako komedjopisarz, liczący się jeszcze do początkujących autorów dramatycznych, ubocznie tylko w swéj „Wycieczce za granicę“ dotyka téj podróżomanji; za tło komedji nie służy ona mu bynajmniéj, a szkoda, bo to materjał, według naszego zdania, z któregoby do mniejszych scenicznych rzeczy, dało się dość dużo wykrzesać komiczno-satyrycznych sytuacji. Pan Zalewski z powodu tylko téj podróżomanji, ułożył fabułę do swojego utworu w ten sposób, że zazdrośny mąż, właściciel domu, ma u siebie, młodego lokatora. Żona z porady doktora, chce koniecznie jechać za granicę, młody lokator ma takiż sam zamiar. Mąż naturalnie, o którego jako gospodarza domu, dotknąć się musiała kwestja paszportowa młodego lokatora, podejrzywa, że żona zmówiła się z tym panem i razem chcą wyjechać za granicę. Po kilku komicznych scenach, cała rzecz się wyjaśnia i pokazuje się, że mąż był w błędzie. Wszyscy zostają w domu. Artyści przyjmujący udział w téj sztuce t. j. pani Bakałowicz, pp. Swieszewski, Grzywiński i Szymanowski, wywiązali się ze swoich ról należycie, ponieważ jednak mieli bardzo ciasne pole do uwydatnienia swoich zdolności aktorskich, więc o grze ich rozpisywać się nie mamy potrzeby. *M. Dzikowski.*

Wiadomości Techniczne.

— **Czopy poruszające się w suchych panewkach,** to jest walce robiące do 10,000 obrotów w minucie czasu, bez żadnego smaru jak oliwa, woda, grafit, nie będą już gorącemi. Nikomu się dziwić nie można, jeżeli to przeczytawszy, zawoła z anglikiem: *humbug!* to jakiś puf dziennikarski!.. a przecież jest to autentycznym faktem, prawdą niezaprzeczoną, o któréj się każdego dnia w Londynie przekonać można, o czem nas Redaktor ,,*Engineer*'a'' najpoważniéjszego pisma technicznego w Anglji, dokładnie pojaśnia.—

Wynalazek jest amerykański, do wyzyskiwania którego zawiązało się w Anglji—Towarzystwo; materjał na *łożyska* (Lager, coussinet) nazywa się *metaliną*, ma pozór grafitu, nie będąc nim i nie zawierając go w sobie.

W biurze Towarzystwa w High-Holborn w Londynie, pokazują każdemu te zdumiewające wypadki. Są tam w ruchu czopy ¼ do 6 cali średnicy z rozmaitą szybkością. Korby od maszyn parowych na 150 obrotów w minucie. Czopy u maszyn w przędzalniach, których ruch od 3,000 do 10,000 obrotów w minucie wynosi, wszystko to porusza się bez żadnego smaru, a panewki i czopy bynajmniéj nie są ciepłe. Zdejmując pokrywkę z panewki, przekonywamy się: iż czop który już dawno był w biegu, ma politurę jak gdyby zwierciadło, co najlepszym jest dowodem: że tam jest bardzo małe tarcie; gdyż wszystkie środki smarownicze, nie mają innego celu, jak tylko wypełnienie nierówności znajdujących się skutkiem tarcia na panewce i na czopie, a tym sposobem zniszczenia przylegania panewki do czopa. Skutek ten otrzymuje się dzisiaj bez użycia smarowidła za pomocą *metaliny*, któréj skład dotychczas jest jeszcze tajemnicą. Obecnie odbywają się jeszcze odpowiednie próby z metaliną w przędzalni Bright'a i jeżeli takowe pomyślnie wypadną, można być pewnym: iż w krótce metalina ogólne upowszechnienie znajdzie. Gdyby ten wynalazek okazał się zupełnie pra-

ktycznym, jakże korzystnie wpłynąłby na oszczędność pieniędzy i czasu na drogach żelaznych, w żegludze parowéj, w przędzalniach i wszelkich fabrykach pracujących przy pomocy maszyn!

Będziemy zwracać uwagę na dalsze próby i czytelnikom naszym o tym wynalazku we właściwym czasie, bezstronne zdanie przyrzekamy objawić. *J. P.*

— **Nowy rodzaj kopert listowych,** bardzo jest odpowiedni dzisiejszym stosunkom handlowym, sprawiają one w tem przyjemność odbierającemu: że mogą być otwierane z nadzwyczajną łatwością, gdyż nie potrzeba do nich noża ani nożyczek. Ten nader praktyczny przyrząd polega jedynie na nitce, wystającéj z jednego dolnego rogu, za pociągnięciem któréj, można kopertę otworzyć, nie uszkadzając bynajmniéj listu, adressu i stempla. Koperty tego rodzaju używane już są w Berlinie. *J. P.*

ROZMAITOŚCI.

—**Nowe dzieła: (M. D.)** *„Patrie,“ dramat przez Wiktoryna Sardou.* Głośnéj sławy komedjopisarz francuzki Sardou w tych czasach napisał i wystawił 5 aktowy dramat p. t. „Patrie,“ do którego treść poczerpnął z historji Niderlandów.

Rzecz dzieje się 1568 roku. Głównym bohaterem dramatu jest hrabia Rysoor, ktorego żona Dolorès zdradza dla kachanka Karloo van der Nota, młodego szlachetnego i prawdziwego przyjaciela Rysoora. Rysoor ginie na szafocie z rąk Hiszpanów, bo właśnie żona jego odkrywa nieprzyjaciołom spisek, na czele którego mąż jéj stał. Karloo dochowując przysięgi, którą wykonał idącemu na szafot Rysoorowi, że zamorduje zdrajcę ktokolwiekby on był—zabija sztyletem żonę Rysoora, kobietę, którą kochał, Donę Dolorès i sam wyskoczeniem przez okno, życie sobie odbiera. Taka jest główna treść dramatu, w ramy którego wchodzi jeszcze wiele innych osób, stanowiących już to illustrację dramatyczną, już niezbędną część budowy artystycznéj. Co prawda, dramat ten więcéj był głośnym póki był zapowiadany. Na scenie nie zrobił spodziewanego wrażenia w Paryżu, w tłómaczeniu włoskiem we Florencji, jeszcze zimniéj był przyjęty, w jednéj tylko Brukselli cieszy się lepszem powodzeniem. Dramat ten w tłómaczeniu polskiem ukazał się na scenie teatru Krakowskiego, a zapewne i Lwowskiego. W ogólności talent W. Sardou, daléj sięga w komedji i pokazuje się dość wyraźnie, że dramat czystéj wody, nie jest właściwem polem dla zdolności autorsko-dramatycznych tego pisarza. „Patrie“ jako dramat historyczny jest dziełem zaledwie wystającem po za poziom mierności, pod względem charakterystyki jeden tylko Rysoor jest postacią wykończoną, inne dość blado naszkicowane, a Dolorès, żona Rysoora, tak jak ją autor wystawił, jest hyeną, nie kobietą.

Tenże sam autor Sardou, w tymże samym prawie czasie wystąpił z nową komedją p. t. „*Seraphine*“ w 5 aktach, (obecnie przez pana Klemensa *Podwysockiego*, przetłómaczona na język polski), któréj głównym celem jest wysmaganie dewocji i wykazanie jak ona złe skutki sprawia w rodzinie. Komedję tę trzeba policzyć do lepszych utworów dramatycznych. W ogóle należy zrobić uwagę: że Sardou w charakterystyce osób, które w prowadza do swoich komedji, powtarza się. (*D. M.*)

— **Kalendarz humorystyczny, na r. 1870 nakładem Grossmana.** O dowcip prawdziwéj wartości co raz trudniéj, z dowcipem w Kalendarzu jeszcze rzadziéj spotykać się przychodzi. Kalendarz humorystyczny Grossmana, stwierdza na sobie także tę niezbitą prawdę, że najmniéj dowcipnym jest ten, kto się o to stara. Ze wszystkich elukubracji literackich, bo ich inaczéj nazwać nie można, zamieszczonych w téj kalendarzowéj książeczce, niema ani jednego utworu, któryby był nacechowany prawdziwym humorem i dowcipem — wszystko albo rzeczy już znane, oklepane, albo trywialne, albo wcale niedowcipne. Redagowanie podobnych produkcji literackich, jakim jest, tak nazwany „Humorystyczny Kalendarz“ Grossmana, należy policzyć do poronionych płodów, za które p. Grossman każe drogo sobie płacić, bo 2 złp. za 112 Stronnic szesnastki, od téj bowiem Stronnicy zaczynają się ogłoszenia handlowe.

— **Dobry wybieg.**—Pismo „Peterburgskij Listok“ zamieszcza opowiadanie o następującem zdarzeniu w Petersburgu. „Pewien jegomość, który teraz mimo swéj woli dostał się do bezpłatnego mieszkania, przedtem nim go tam zawieźli, postanowił był zaopatrzyć się w meble. Podobni jemu genijalni ludzie, nie łamią sobie długo głowy nad takiemi fraszkami, zwłaszcza jeżeli los wraz z życiem, udarował ich, jak i naszego bohatera, tytułem jaśnie wielmożnego. Skoro więc tylko myśl o posiadaniu nowych pięknych mebli przemknęła się po głowie tego jegomościa, pędził już modną dorożką do *nieco* znajomego sobie magazyniera mebli. (Podkreślamy wyraz nieco, dla tego, że ludzie dobrze znajomi z tego rodzaju panami, nigdy nie wdają się w żadne interessa).

Wszedłszy do magazynu, jaśnie wielmożny podług zwyczaju, obdarzył gospodarza kilkoma grzecznościami, wspomniał mimochodem, że niezadługo odbierze znaczny spadek po swym wuju, który niedawno *nareszcie* umarł i zaczął dobierać meble.

— Dosyć! powiedział, wybrawszy ich za dwieście rubli. To mi wystarczy, dopóki nie odbiorę spadku, a wtedy wezmę u pana tak, za dwa tysiące... Odeślij pan meble do mnie dziś jeszcze, pieniądze otrzymasz po dostawieniu.

Obadwaj ci panowie rozstali się, zadowoleni z siebie, jak lepiéj nie można.

Wieczorem meble były odstawione, a jednocześnie zjawił się i sam właściciel składu z rachunkiem.

— Hm, rachunek. A ja panu pieniędzy zapłacić nie mogę, powiedział dżentelmen, obejrzawszy rachunek; chyba, że pan zechcesz wziąść bilet pięcioprocentowéj pożyczki, kurs ich teraz jest 143 rs. A zaś resztę 57 rs. dostaniesz pan pojutrze.

Kupiec objawił gotowość wzięcia 5% procentowego biletu, na rachunek należności.

— W takim razie bardzo pięknie! powiedział jegomość, pisząc na rachunku: „Rubli srebrem sto czterdzieści trzy *bieżącą monetą* odebrałem.“ No, podpisz pan.

Dobroduszny człowiek, nie podejrzywając przygotowanéj na siebie podstępnie łapki, bez czytania podpisał, i wziąwszy bilet udał się do pobliskiéj restauracyi, dla *oblania* korzystnéj sprzedaży.

Tymczasem, po jego odejściu, ów jegomość zatarł z radością ręce, pogłaskał się z zadowoleniem po fryzurze i wziąwszy arkusz papieru, zaczął pisać zawiadomienie do władzy Policyjnéj o zaginieniu w jego mieszkaniu biletu 5% procentowéj pożyczki za Nr. takim a takim; z dodatkiém na końcu: że podejrzenie ma na owego właściciela składu mebli.

Wkrótce u właściciela składu mebli zjawili się urzędnicy policyjni. Dowiedziawszy się o co chodzi, wcale nie zapierając otrzymania biletu, powołał się na rachunek; lecz mu wskazali na wyrazy: „bieżącą monetą odebrałem.“ Bóg wie, na czém-by się to było skończyło gdyby nie urzędnik policyjny, który domyśliwszy się, że kupiec wpadł w zręcznie ustawiony potrzask, nie był mu poradził, aby zakończył tę sprawę ugodą, ponieważ w przeciwnym razie, w skutek pomysłowości owego nabywcy mebli, mógłby się narazić na obwinienie o kradzież. Takim sposobem, kupiec zmuszony był ukorzyć się przed koniecznością i nietylko zwrócił bilet, ale nadto zupełnie pokwitował z całéj należności zręcznego oszusta.“

Wydawca, Mieczyński Adam.—Druk. J. Psurskiego.— Дозволено Цензурою.— **Redaktor:** Oskar Stanisławski.